



BOGDAN GLIŃSKI

Dnia 19 września 1947 r. w Krakowie, członek krakowskiej Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, sędzia grodzki dr Henryk Gawacki, na pisemny wniosek pierwszego prokuratora Najwyższego Trybunału Narodowego z dnia 25 kwietnia 1947 r. (L.dz. Prok. NTN 719/47), na zasadzie i w trybie dekretu z dnia 10 listopada 1945 r. (DzU RP nr 51, poz. 293) w związku z art. 254, 107 i 115 kpk, przesłuchał w charakterze świadka niżej wymienionego byłego więźnia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, który zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Bogdan Gliński
Wiek	26 lat
Wyznanie	rzymskokatolickie
Narodowość i przynależność państwowa	polska
Zajęcie	student medycyny UJ w Krakowie
Miejsce zamieszkania	I. Dom Akademicki, ul. Jabłonowskich 10/12
Zeznaje bez przeszkód	

W lutym 1941 r. zostałem aresztowany w Miechowie, potem przebywałem w więzieniu [przy] Montelupich w Krakowie i następnie 5 kwietnia 1941 r. zostałem osadzony jako więzień polityczny w obozie w Oświęcimiu pod numerem więziennym 11958. 4 lub 5 marca 1943 r. – nie pamiętam dokładnie, gdyż przebywałem przez przeszło cztery miesiące do tego czasu w bunkrze – zostałem z karnym transportem przeniesiony do obozu w Buchenwaldzie, gdzie pozostawałem do końca.

Do Oświęcimia zostałem odstawiony z Krakowa w grupie liczącej około tysiąca mężczyzn. Wieziono nas we francuskich wagonach kolejowych, blaszanych, szczelnie zamkniętych, bez żadnej wentylacji i wskutek silnego upału oraz braku powietrza w wozach wielu więźniów

w drodze zmarło lub też oszalało. W obozie oświęcimskim najpierw pracowałem w tzw. *Neubau*. W czerwcu 1941 r. zachorowałem na zapalenie płuc, a nadto miałem flegmonę na prawym udzie, przebywałem na blokach: 28., 21. i 19. rewiru dla więźniów, a po przejściu choroby od sierpnia 1941 r. zacząłem pracować na tych blokach jako sprzątający. Potem w zimie chorowałem na tyfus plamisty, a po wyzdrowieniu zostałem zatrudniony jako pomocnik pielęgniarza. Na początku 1942 r. zostałem przeniesiony z pierwszym transportem więźniów ozdrowieńców po tyfusie i czerwonce (przeszło tysiąc ludzi) do Brzezinki i tam dzięki pomocy innych więźniów oraz więźniów lekarzy przebywałem początkowo na bloku 12., a potem 7. w stanie chorych, a zatrudniony w charakterze pielęgniarza. 3 listopada 1942 r. zostałem tam aresztowany przez Oddział Polityczny i osadzony w bunkrze bloku 11. w obozie macierzystym.

Gdy pracowałem w *Neubau*, zetknąłem się z Plaggem, którego na okazanej mi fotografii rozpoznaję. Wszyscy więźniowie bali się go bardzo i nawzajem się ostrzegali przed jego zbliżeniem się. Bił i kopał więźniów, tudzież lubił podpatrywać z ukrycia, czy więźniowie pracują, do czego sam przed nami się przyznawał, i potem danego opieszałego więźnia odprowadzał na bok i wymierzał 25 uderzeń kawałkiem łąty lub też kijem.

Do *Neubau* zachodził także – podobnie jak Plagge – inny *SS-Unterscharführer*, Kurt Müller, którego znam dobrze. On także bił i kopał więźniów za opieszałą, jego zdaniem, pracę, a bił bykowcem, którego stale nosił. Niejednokrotnie prowadził psa na smyczy. W następstwie pobicia przez Plaggego i Müllera więźniowie odchodzili na rewir z flegmoną.

Na apelach wieczornych zetknąłem się z *Lagerführerem* Aumeierem, znanym z tego, że bił i kopał więźniów, a zawsze krzyczał i ryczał bez żadnego powodu. Więźniowie, aby uniknąć jego uderzeń i kopania, po pierwszym uderzeniu przewracali się na ziemię. Aumeier leżącego kopnął i – o ile ten się nie podniósł – odchodził z widocznym zadowoleniem czy też dumą, że potrafił jednym uderzeniem powalić więźnia na ziemię. Na apelach, gdy osadzeni zgłaszali się do lekarza jako chorzy, Aumeier zwykł był kopnięciem zawracać ich z powrotem do szeregu, uznając, że dany więzień nie jest na tyle chory, aby go odsyłać do rewiru.

W 1941 r. byłem świadkiem dwóch wielkich selekcji, przeprowadzanych na placu apelowym w obecności Aumeiera przez towarzyszących mu *SS-manów*. W czasie przeglądu Aumeier osobiście odstawiał więźniów na bok, potem przewożono ich samochodami do Brzezinki, skąd

już nie wracali. Pamiętam dobrze, jak pewnego dnia w lecie 1941 r. autami zabrano do Brzezinki całą kwarantannę potyfusową z góry bloku 20. w liczbie ok. 800 ludzi. Aumeier był przy tym obecny i ponaglał więźniów krzykiem i biciem. Więźniowie ci byli zupełnie zdrowi i nadawali się do pracy, a przebywali jeszcze na kwarantannie przed ewentualną inkubacją tyfusu.

Gdy przebywałem w bunkrze na bloku 11., widywałem tam bardzo często Aumeiera. Przeprowadzał on stale – jeśli nie raz, to najczęściej dwa razy w tygodniu – wybiórkę na „rozwałkę” pod „ścianą śmierci” na podwórku bloku 11. Przychodził w towarzystwie Grabnera, Lachmanna, Bogera, Wosnitzy i innych i wybiórkę tę przeprowadzał w ten sposób, że zwracał się do każdego z więźniów z zapytaniem: „Wegen was sind Sie hier”? Po [uzyskaniu] odpowiedzi na to czysto retoryczne zapytanie wyczekiwał na znak dany lekkim skinieniem głowy lub też oczyma przez Grabnera lub też innych z Oddziału Politycznego (jeśli chodziło o więźnia pozostającego do dyspozycji Oddziału Politycznego), wtedy krzyczał: „Raus!” i kopnięciem wyrzucał więźnia z celi na korytarz.

O więźniach zaś osadzonych w bunkrze za przewinienia natury obozowej decydował Aumeier sam. W celi 20. razem ze mną przebywał przez około dwa tygodnie więzień warszawianin, którego nazwiska i imienia już zapomniałem, a który miał numer siedemdziesiąt tysięcy i coś. Opowiadał mi on, że Aumeier osadził go w bunkrze za nie dość szybkie zdjęcie czapki przy spotkaniu na ulicy obozowej. Aumeier więźnia tego wybrał na rozstrzelanie. Wybierał on na rozstrzelanie więźniów osadzonych w bunkrze za ucieczkę lub też kradzież żywności.

Po aresztowaniu mnie Grabner, który przyjechał do Brzezinki w tym celu z Lachmannem, zlecił przesłuchiwanie mnie Lachmannowi i ten, aby zmusić mnie do [złożenia] potrzebnych mu zeznań, zarządził wieszanie mnie na słupku: czterokrotnie przez pół godziny, następnie dwa razy po godzinie i ostatnim razem [znów] przez pół godziny. Słupek polegał na zawieszeniu delikwenta na łańcuchu za skrępowane do tyłu ręce.

W bunkrze, w bezpośrednio przylegającej celi 19., przebywał samotnie przez dłuższy czas rozstrzelany później Zdzisław Wróblewski, czynny podporucznik 1. Pułku Szwoleżerów z Warszawy. Razu pewnego podpatrywałem przez judasza w mej celi, jak Grabner i Lachmann odprowadzali skatowanego i skrępowanego do tyłu amerykańskimi kajdankami Wróblewskiego do celi. Był on przez dwa tygodnie w ten sposób skrępowany i w tej pozycji spożywał strawę, wylizując językiem miskę, której ślizganie się po pryczy dochodziło do naszej celi. Wróblewski

żalił się, że najbardziej dokuczają mu pluskwy, od których cela ta, o drewnianej podłodze, roiła się, a on, pozbawiony ruchów rąk, nie jest w stanie się przed nimi opędzić, a nadto powstały u niego pod pachami silne odparzenia.

Gdy przebywałem jako chory na bloku 21. rewiru dla więźniów, widziałem, jak pewnej nocy wprowadzano na podwórze bloku 11., który znajduje się po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko bloku 21., grupę jeńców rosyjskich, liczącą kilkuset ludzi – jak się o tym przekonałem, ok. 600. Przy wprowadzaniu tych jeńców panował krzyk, eskortujący bowiem ich SS-mani popędzali ich i bili bykowcami, kopali. Dostrzegłem wyraźnie – nie tylko ja sam, ale też zauważyli to i inni moi koledzy – że eskortujący SS-mani wyposażeni byli w maski gazowe, co nas bardzo zaintrygowało. Wśród eskortujących zauważyłem Grabnera, Plaggego i Lachmanna. Widziałem dobrze, jak oni również bili tych ludzi i z tego ich zachowania oraz z tego, że przy tym krzyczeli, wnioskowałem, że musieli przedtem pić i działali pod [wpływem] alkoholu – nigdy bowiem nie widziałem Grabnera i Lachmanna bijących kogoś w obozie. Po apelu wieczornym przed tą nocą opróżniono z chorych i ozdrowieńców wszystkie bloki rewiru dla więźniów i wybranych przez jakiegoś lekarza SS odprowadzono, względnie przeniesiono na blok 11., przy czym chorych niemogących się poruszać znoszono na dół do cel. Wiem to z opowiadania kolegów, którzy chorych tych znosili. Ozdrowieńców odprowadzono także na dół do cel. Na dwa dni przed [tą nocą] cały blok 11. został w zupełności opróżniony, a więźniów z tego bloku przeniesiono na inny blok. Nikt nie wiedział i nie znał celu tego wszystkiego. Po upływie trzech dni od owej nocy, w czasie której sprowadzono tam jeńców rosyjskich, *Rapportführer* Palitzsch zebrał z bloku rewiru grupę więźniów – pielęgniarki i lekarzy, ponad 20 ludzi. W grupie tej znajdowałem się [i] ja. Weszliśmy do bunkra i z cel wynosiliśmy zwłoki owych jeńców rosyjskich i chorych oraz wybranych z rewiru ozdrowieńców, przy czym zwłoki pierwszych były w mundurach, a zwłoki więźniów były w bieliźnie, gdyż więźniów chorych i ozdrowieńców przeniesiono tylko w samej bieliźnie, co wtedy zwróciło naszą uwagę. W celach znajdowały się stosy trupów, a z duszącej i łzawiącej woni w piwnicach i z wyglądu zwłok (skurczone [ciała] oraz otwarte i wytrzeszczone gałki oczne), wywnioskowaliśmy, że wszystkich tych ludzi zagazowano. Choć przez trzy dni wietrzono bunkier, opary gazu pozostały. Na podłogach wały się fotografie i różnego rodzaju dokumenty pisane w języku rosyjskim oraz rosyjskie banknoty i bilon. Miało to miejsce w okresie, gdy *Lagerführerem* był Fritzsch, poprzednik Aumeiera.

Nie tylko mnie, ale także i innym więźniom utkwiał dobrze w pamięci następujący wypadek: W kilka tygodni po rozpoczęciu się wojny niemiecko-rosyjskiej nadszedł do Oświęcimia

pierwszy większy transport jeńców rosyjskich w grupie kilkuset ludzi. Jeńcy ci przebywali na bloku 11. i codziennie wychodzili do pracy, polegającej na wydobywaniu piasku w wielkim dole (*Kiesgrube*), który znajdował się za kuchnią obozową, za drutami. W ciągu kilku następujących po sobie dni całą tę grupę wymordowano w najokrutniejszy i najhaniebniejszy sposób. W czasie [jej] pracy schodziła się niemal cała elita załogi obozowej, z Fritzschem na czele, wśród niej byli: Grabner, Kurt Müller, Plagge, Lachmann i inni z Oddziału Politycznego, których na okazanym mi wykazie nazwisk nie znajduję. [Wyżej] wymienieni oraz kapo tego komanda, przeważnie sami Niemcy, zabijali jeńców bądź to strzałami z krótkiej broni palnej, bądź też łopatami, kilofami i innymi przedmiotami. Strażnicy dozoru tę grupę jeńców wokoło strzelali do nich po prostu jak do kaczek, gdy któryś jeńiec, nieświadomy niczego, pobiegł za porwaną mu przez strażnika i rzuconą czapkę i przy tym przekroczył linię łańcucha wartowniczego lub też pobiegł za rzuconą czy też celowo pozostawioną poza łańcuchem wartowniczym łopatą. Jednego jeńca, który wyróżniał się wzrostem i budową, powoli mordowano przez trzy dni z rzędu, znęcając się nad nim nie tylko biciem, ale [także] duszeniem go drągiem położonym na krtani. Wszystko to działo się na oczach niemal całego obozu, a ja, przechodząc wówczas zapalenie płuc, leżałem na górze bloku 28. i przez okno wychodzące na miejsce pracy tej grupy jeńców dokładnie obserwowałem tę stopniową likwidację. Komando *Leichenträgerów* i dodani im do pomocy pielęgniarze z bloków rewiru przez cały dzień zajęci byli odwózką zwłok pomordowanych do krematorium I. Widziałem też, jak Grabner jednego jeńca, leżącego na pace, a dającego słabe oznaki życia, dobił [strzałem] z pistoletu.

Przypominam sobie jeszcze jedną egzekucję na większą skalę, przeprowadzoną także poza obozem, w jednym z dołów piaskowych. Miało to miejsce pod koniec maja lub na początku czerwca 1941 r. W ciągu jednego dnia rozstrzelano ok. 130 Polaków, w większości z transportu krakowskiego (aresztowanych na terenie Ubezpieczalni Społecznej). Egzekucja ta odbyła się także na oczach obecnych na terenie obozu więźniów. Polaków tych przebrano w stare i zniszczone ubrania, podjęte z *Bekleidungskammer*, i rozstrzeliwano ich od razu po 20 ludzi. Więźniowie, wyznaczeni do przenoszenia zwłok, a wśród nich i ja się znajdowałem, biegiem i bardzo szybko musieli porywać zwłoki pomordowanych, składać na rolwagi i odwozić do krematorium, oprawcy bowiem, wśród których zapamiętałem sobie dobrze Grabnera i Plaggego – Fajeczkę, podpici, krzykiem i uderzeniami pistoletami zmuszali nas do jak najszybszej pracy, [tak że] niemal pod gradem kul podnosiliśmy i ładowaliśmy zwłoki. Egzekucji tej przyglądały się rodziny elity obozowej, żony i małe dzieci.

Gdy siedziałem w ciemnicy (cela 20.) bunkru na bloku 11., zetknąłem się także z SS-Oberscharführerem Wilhelmem Gehringem, który pełnił tam wówczas razem z Rottenführerem (potem Unterscharführerem) Brinkmannem i Kurtem Müllerem funkcję Blockführera. W związku z tą funkcją widywałem Gehringa bardzo często, stosownie bowiem do regulaminu więziennego musiał on być obecny przy rozdawaniu stawy – otwierał poszczególne cele. Traktował więźniów brutalnie, odmawiał wszelkim prośbom więźniów – nie tylko o dodatkową porcję stawy, ale nawet o wodę do mycia. Z braku wody więźniowie nie myli się całymi tygodniami i zmuszeni byli, z uszczerbkiem dla własnego zdrowia, poświęcać trochę kawy. Gehring przy tym bił więźniów. Gdy w Nowy Rok 1943 r. odważyłem się poprosić w imieniu naszej celi o Nachschlag [dokładkę], uderzył mnie w twarz, krzycząc: „Bist du verrückt geworden?!“ i zamknął celę.

Gehring nakrył nas dwukrotnie, gdy paliliśmy w celi papierosy. Za pierwszym razem „wyboksował” nas za pośrednictwem nieznanego mi z nazwiska kapo bunkra, Żyda rosnącego, grubego i bardzo silnego. Opowiadano o nim po obozie, że miał być trenerem sławnego boksera Schmelinga. Wszyscy z celi zalaliśmy się krwią. Za drugim razem Gehring skazał nas na głodówkę przez trzy dni i z widocznym zadowoleniem nie tylko słowami, ale i palcami nam to powiedział.

W okresie Bożego Narodzenia Gehring przyniósł do celi paczkę wysłaną do mnie z domu, zawierającą sweter, pończochy i chustki do nosa. Okazał mi to i niczego mi z tego nie pozwolił zatrzymać.

Gehringa pamiętam też z okresu przed bunkrem, wykonywał karę chłosty na apelu i był znany z tego, że swymi uderzeniami przecinał skórę.

Nasza cela znajdowała się tuż przy „ścianie śmierci”, a otwór tzw. okienka, a w istocie kanału dla dopływu powietrza, wychodził tuż pod tą „ścianą śmierci”. Słyszeliśmy dobrze strzały i odgłosy upadającego ciała delikwenta oraz krzyki i śpiewy rozstrzeliwanych. Mogliśmy także dosłyszeć, przykładając ucho do otworu, odgłosy rozmowy Hößa, Fritzscha, Aumeiera, Grabnera i innych. Gehring nosił zawsze parabellum i niejednokrotnie prócz cichych strzałów małokalibrowki słyszeliśmy głośne strzały i głos Gehringa, z czego wnosiliśmy, że Gehring ze swojego służbowego parabellum dobijał postrzelonych.

W tej chwili przypomniałem sobie jeszcze jedno zdarzenie, odnoszące się do Aumeiera, a opowiedziane mi przez mego serdecznego kolegę obozowego Jana Szewczyka, studenta



Akademii Górniczej w Krakowie, byłego więźnia z pierwszego transportu do Oświęcimia. Aumeier zarządził osadzenie w tzw. *Stehbunkrze* grupy ok. 40 więźniów z powodu niewystarczającego miejsca w specjalnych celkach, w ciemnicy, w celi 20., wyżej co dopiero opisanej. Było to w zimie 1941 r. i śnieg, jak należy przypuszczać, przysypał otwór owego kominka z tej celi, wychodzący na podwórze bloku 11. Drzwi celi były bardzo szczelne i na drugi dzień rano po ich otwarciu okazało się, że z tej grupy tylko siedmiu dawało ledwie słabe oznaki życia, a reszta uległa uduszeniu z powodu braku doływu powietrza.

Na tym protokół zakończono i po odczytaniu podpisano.